

Alexandrowicz, Stanisław / Bobkowski, Adam

Świadectwo prawdzie : (wspomnienie o biskupie Zygmuncie Łozińskim)

Studia Teologiczne 14, 307-316

1996

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez **Muzeum Historii Polski** w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

ADAM BOBKOWSKI

ŚWIADECTWO PRAWDZIE (WSPOMNIENIE O BISKUPIE ZYGMUNCIE ŁOZIŃSKIM)*

Niedawno ktoś, czyje zdanie niezmiernie cenię, namawiając mię do pisania pamiętników, wyraził przy tym zdziwienie, że z czasów daleko mniej ciekawych mam liczne pamiętniki, wówczas gdy z czasów obecnych, kiedy tyle rzeczy ważnych i wielkich się dzieje, kiedy tyle ciekawych ludzi się spotyka, tak mało mamy pamiętników. - Być może nie ma w tym nic dziwnego: wówczas gdy każdy dzień tworzy historię trudno jest pisać nie tylko historię, ale nawet przyczynki do niej.

W każdym razie perspektywa pisania pamiętników dosyć mi się uśmiecha i może kiedyś się do nich zabiorę. Ale to rzecz daleka, wymaga to dużego skupienia się, by nie pisać rzeczy nieważnych, by rzeczy ważnych, których tyle przeminęło w oczach naszego pokolenia, wybrać, oderwać się od absorbujących i ważnych częstokroć wypadków dnia powszechniego, od jego licznych trosk i zagadnień, aby spojrzeć w przyszłość nie okiem dzisiejszego widza, dla którego wczorajsze zagadnienie zostało już dziś rozstrzygnięte - jego tego ówczesnego działacza.

Są jednak w przeszłości osoby, o których trudno jest nie pisać, gdyż każdy szczegół z ich życia może się kiedyś przydać, może stać się tym języczkiem u wagi, który zdecydować może o rzeczach doniosłych.

Taką osobą, z którą miałem szczęście w ciągu krótkiego czasu i dość rzadko spotykać się, jest osoba świętej i świetlanej pamięci Zygmunta Łozińskiego, Biskupa Pińskiego.

Jestem głęboko przekonany, że prędzej czy później powstanie, bo powstać musi, kwestia jego kanonizacji, gdyż żył on i zmarł w odorze świętości, gdyż każdy, kto się z nim spotykał - swój czy obcy, wróg czy przyjaciel - odczuwał tak niezwykły wpływ Jego Świetlanej Osoby, który jest tak właściwy każdemu świętemu.

A tymczasem ludzie, którzy Go znali, rozrzućeni dziś po całej Polsce, a nawet po całym świecie, co raz to częściej wymierają, a tymczasem wypadki o światowym

* Podtytuł od redakcji.

znaczeniu nie mogły nie zniszczyć jego działalności.

I dlatego, jak powiedziałem, każdy najdrobniejszy szczegół z Jego życia jest cenny i dlatego każdy, kto Go znał i pamięta, ma obowiązek dać świadectwo prawdzie, tak jakby był pytany na procesie kanonizacyjnym nic od siebie nie dodając, nic nie ujmując - bo prawda ta może się kiedyś przydać.

I oto daję świadectwo prawdzie...

Jadąc w końcu roku 1930 do Pińska szczerze mówiąc obawiałem się trochę zetknięcia ze śp. Biskupem Łozińskim. Dochodziły nas bowiem nie zawsze może ściśle wiadomości o jego kazaniu imieninowym w dniu 19 marca bodajże tegoż 1930 (może 1929) roku. Świadkiem owego kazania nie byłem, więc powiem tylko to, co wydaje mi się niewątpliwym z tego, co mówiono o owym kazaniu.

Proszony przez przedstawicieli miejscowego Dowództwa Garnizonu o okolicznościowe kazanie z powodu imienin Piłsudskiego Biskup Łoziński odpowiedział, że *przy okazji wspomni*, a z zobowiązania swojego wywiązał się w ten sposób, że przy końcu kazania o Józefie Oblubieńcu Najświętszej Marii Panny, zaznaczył, iż uproszony przez miejscowych przedstawicieli wojskowości wspomina przy okazji, że są to imieniny *jednego z waszych generałów*, a więc zaproponował modły o udzielenie mu zdrowia i łask, a przede wszystkim *cudnej pokory*.

Rezultat był taki, że jeszcze w trakcie kazania wyszedł z kościoła korpus oficerski wraz z poczem sztandarowym, przedstawiciele władz i kompania honorowa, a następnie po nabożeństwie we wszystkie uroczystości państwowe przedstawiciele władz w ciągu paru lat chodzili nie do katedry, a do kościoła jezuitów.

Wypadek ten głośnym echem przeszedł po całej Polsce i jadąc do Pińska myślałem, iż w osobie Biskupa Łozińskiego spotkam *wojującego antyrządowca*, co w ówczesnych warunkach nie ułatwiało bynajmniej mojej sytuacji, jako Prezesa Sądu Okręgowego w Pińsku.

I. PIERWSZE ZETKNIĘCIE Z BISKUPEM ŁOZIŃSKIM

Na podstawie tych wszystkich wiadomości doszedłem do przekonania, że w osobie ks. Biskupa Łozińskiego będę miał do czynienia z *wojującym dygnitarzem kościelnym*, z którym zwykle przedstawiciele władzy cywilnej nie mają łatwego życia. Postanowiłem więc przygotować się na wszelkie ewntualności, zając stanowisko wyczekujące, a sam osobiście być *doskonale poprawnym*, by nie dać powodu do zatargów.

W myśl tego postanowienia zdecydowałem się złożyć wizytę Biskupowi już w pierwszym dniu urzędowania, natychmiast po złożeniu koniecznych wizyt Staroście i Dowódcy Garnizonu.

Pytam więc swoją sekretarkę:

„Gdzie jest pałac biskupi?”

- W Pińsku nie ma pałacu biskupiego, a Biskup mieszka w Seminarium - Trochę mnie to zdziwiło, bo nie bardzo to pasowało do pojęcia „dygnitarza kościelnego”, ale trudno: nie ma, to nie ma.

- Proszę mię połączyć z Kurią Biskupią. -

Sekretarka podeszła do aparatu, zadzwoniła i natychmiast oddaje mi słuchawkę: - Biskup przy aparacie. -

Moje dotychczasowe (a i późniejsze) doświadczenie nawet w tym samym Pińsku po śmierci Biskupa Łozińskiego - wyłączało po prostu tak bezpośrednio porozumienie się z Biskupem - Jak to - ani rozmowy z centralną, ani poprzednich pertraktacji z Kanclerzem Kurii przez telefon, ani czekania przy aparacie na porozumienie kanclerza z Biskupem - po prostu: dzwoni się i rozmawia z samym Biskupem - dziwne i zupełnie niezgodne z pojęciem „wojującego dygnitarza” - raczej coś wręcz przeciwnego!

Nic więc dziwnego, że moje zaanonsowane się z wizytą wypadło nieco chaotycznie i bardzo pośpiesznie.

Niemniej nieoczekiwanie wypadła i sama wizyta.

Bez żadnego poprzedniego zaanonsowania wprowadzono mnie do bardzo dużego salonu, skromnie, a nawet skąpo - umeblowanego, zimnego i wilgotnego. Spotkał mnie u drzwi starszy już, mocno szpakowaty kanonik (sądząc z ubioru), kanonik o żywych oczach i miłym, dobronliwym uśmiechu. Dopiero spojrzawszy na krzyż na piersi owego „kanonika” zorientowałem się, że jest to Biskup. Był to właśnie Biskup Łoziński.

Wszystko to, o czym się tutaj dowiedziałem: i brak pałacu biskupiego, i łatwość telefonicznego porozumienia, i ten ubogi salon o meblach skromnych i mocno używanych, i Biskup w sutannie kanonika - i w dodatku sutannie mocno wyszarzałej - i jego ujmująca i serdeczna prostota - zupełnie mnie zdezorientowały i przekreśliły cały mój dotychczasowy plan taktyczny. Oddałem się więc bez zastrzeżeń bezpośrednim wrażeniom i po chwili siedzieliśmy już na wypłowiałej otomanie i rozmawialiśmy ze sobą, tak jakbyśmy się znali od dawna. Szczegółów rozmowy nie przypominam sobie, a nie chcę nic fantazjować, przestaną więc na ogólnym wrażeniu z tej półgodzinnej rozmowy, z której wyszedłem oczarowany bezpośredniością i prostotą Biskupa.

Dwa tylko fragmenty rozmowy zasługują na podkreślenie. Dowiedziawszy się, że jestem żonaty, ale na razie, do chwili uzyskania mieszkania, przyjechałem sam i że mieszkam w hotelu, powiedział Biskup Łoziński: „A więc - pozwoli pan, że go rewizytuję już po przyjeździe pańskiej małżonki” - Zrozumiałem - nie chce stosunków ograniczyć do formalnej rewizyty w biurze, chce poznać moją rodzinę i nie chce mnie rewizytować w hotelu.

Drugi moment był jeszcze charakterystyczniejszy: chcąc znaleźć temat obchodzący Biskupa zacząłem opowiadać, że jestem z rodziny *opornych unitów*, że Ojciec mój i Dziad chcąc pozostać przy katolicyzmie i polskości musieli uciekać z miejsca swego urodzenia i kryć się pod groźbą prześladowań przez dziesiątki lat. Zapomniałem jednak o aktualnych zainteresowaniach ruchem unii Biskupa Łozińskiego, o czym mnie przypomniało jego wyraźne zainteresowanie oraz pytanie:

A sam pan uważa siebie za katolika łacińskiego czy wschodniego? - Wiedziałem, że rozczaruję go swoją odpowiedzią, musiałem jednak odpowiedzieć prawdę. Powiedziałem, że wysoko cenię piękną tradycję ofiary całego życia Ojca i Dziada, że jednak będąc ochrzczonym w kościele łacińskim, biorąc ślub w takimże kościele i chrzcząc w nim swoje dziecko - czuję się związany z tym właśnie obrządkiem. Uczułem wyraźnie rozczarowanie w słowach swojego rozmówcy:

- A no - skoro tak, to - nie ma o czym gadać.

Z całego tego spotkania wynisłem wrażenie niezmiernej prostoty i skromności oraz przedziwnej i serdecznej dobroci Biskupa, a to pierwsze potwierdzały fakty, o których się dowiadywałem i które obserwowałem z dnia na dzień w czasie naszej półtorarocznej znajomości w małym Pińsku.

Dowiedziałem się np., że Biskup mieszka w Seminarium, gdzie zajmuje jeden tylko nieduży pokój, że ów „salon” w którym byłem przyjmowany słusznie czyni wrażenie niezamieszkałego, gdyż istotnie służy jedynie (i dość nieudolnie) do „reprezentacyjnych” przyjęć i że w sezonie opalowym nie chcąc sprawiać przykrości Gospodarzowi należy go dość wcześnie uprzedzić o wizycie, gdyż inaczej - postawi się go wobec konieczności mrożenia gościa (i siebie).

Dowiedziałem się również, że Biskup wyklada w Seminarium jako zwyczajny profesor, że jada razem z alumnami, że jeździ koleją trzecią klasą, a na pytanie, dlaczego to czyni, odpowiada ze swoim jakże charakterystycznym, szczerym śmiechem: „A no, bo nie ma czwartej”.

Sam osobiście byłem kiedyś zgorzony, gdy zobaczyłem, jak do poczekalni kolejowej wszedł Biskup niosąc własną walizę, a za nim jego kanclerz, zupełnie młody jeszcze ksiądz, niosący swoją. Opowiadając o tym dawniejszym mieszkańcom Pińska dziwiłem się, że kanclerz nie wziął walizy Biskupa.

- „Biskup by na to nigdy nie pozwolił” - otrzymałem odpowiedź.

Prostotę Biskupa charakteryzowały przyjęcia przezeń urządzone. Byłem na czterech takich przyjęciach: na nowy rok 1931 i 1932, na Wielkanoc 1931 i na kolacji z okazji akademii ku czci Witolda Wielkiego urządzonej, jeśli się nie mylę, w końcu 1930 roku.

Pierwsze trzy były większe, gdyż na nich zbierali się przedstawiciele miejscowych władz i społeczeństwa. Były one jednak nadzwyczaj skromne: herbata, herbatniki, papierosy, żadnego alkoholu, nawet wina, gdyż, jak zaznaczał Gospodarz: „Jesteśmy w Seminarium gdzie obowiązuje klauzura.” Na kolacji po akademii Witoldowej były trzy czy cztery osoby obce; kolacja odbywała się w refektarzu seminaryjnym wraz z alumnami Seminarium siedzącymi przy tymże stole co Gospodarz i goście. Jedzenie było dobre, ale skromne i dla wszystkich jednakowe. Żadnych zakąsek, żadnego alkoholu: kotlety cielęce, kompot, herbata (ta ostatnia już nie najprzejdniejsza).

Mówię o tym tak szczegółowo, bo te suche, a może nawet nudne fakty charakteryzują lepiej osobę wielkiego Biskupa - lepiej niż niejedno poetycko brzmiące, a nie nie mówiące określenie, gdyż On sam był tak szczerzy i prosty jak jego przyjęcia.

A na przyjęciach tych świecił Gospodarz swoją prostotą, swoją dobrocią, dowcipem, dobrym humorem, serdecznym do każdego stosunkiem.

Do alumnów mówił „ty”; jest to zresztą utarty zwyczaj, ale trzeba było słyszeć to ty w ustach Biskupa Łozińskiego z dodatkiem zawsze „ty Jasiu, ty Stasiu” - trzeba było widzieć Jego uśmiech przychylny, by zrozumieć, że nie jest to martwy zwyczaj, jeno żywa serdeczność, żywy ojcowski stosunek.

Tak samo ożywia! On tradycję całowania w rękę Biskupa przez alumnów (a i nie przez alumnów też). Widziałem, jak po wspomnianej już akademii Witoldowej wychodzili z sali alumni z seminarium jezuickiego i żegali się z Biskupem: zdawałoby się taka zwykła, taka niegodna wzmianki formalność. Trzeba jednak było widzieć ten serdeczny uśmiech i ten prawdziwie ojcowski pocałunek w czoło, jakim darzył

każdego z kilkudziesięciu przyklękających przed Nim chłopaków, ażeby zrozumieć, że u tamtego prawdziwego człowieka nic nie było martwym obrządkiem i czczą formalnością.

Dodać jeszcze muszę, że za półtora roku wspólnego pobytu mojego w Pińsku, ani razu nie miałem sposobności widzieć celebry Biskupa Łozińskiego i twierdzę, że takiej nie było. Wtajemniczeni mówili, że codziennie o 8¹⁵ przy bocznym ołtarzu Biskup odprawiał wczesną mszę św. Była to jednak dla mnie wówczas zbyt wczesna godzina (mieszkałem na przedmieściu) i sam nigdy na niej nie byłem.

II. DOBROĆ BISKUPA ŁOZIŃSKIEGO

Już sam wspomniany wyżej dobrotliwy uśmiech Biskupa Łozińskiego przy Jego szczerości i prawdomówności starczyłby za dowód Jego dobroci. Ale dla jej stwierdzenia nie trzeba było wyśrodkowywania jej na podstawie wniosków.

Całe Jego życie było ciągłym szeregiem takich dowodów Jego dobroci. Toteż z licznych dowodów wybieram tylko te, na które patrzyłem własnymi oczami.

Najbliżej przyjrzałem się tej dobroci obserwując Biskupa jako Członka Zarządu miejscowego Patronatu Więziennego.

Już sam czynny udział Jego w patronacie, chodzenie na każde posiedzenie Zarządu, zabieranie głosu w każdej poważniejszej sprawie, pełna inicjatywy postawa - były czymś wyjątkowym.

Nie znam poza tym wypadku, by Biskup Ordynariusz dużej diecezji obejmującej całe Polesie i znaczną część Nowogródzyczyny, obarczający siebie w dodatku szeregiem dodatkowych obowiązków (wykłady w Seminarium oraz w Szkole dla Podoficerów Marynarki Flotylli Pińskiej) - znalazł czas na osobisty udział w sprawach Patronatu Więziennego, nie ograniczając się do tytularnego objęcia protektoratu pracami i do delegowania dzień któregoś z księży.

A tymczasem Biskup Łoziński wraz z inż. Reichem (bratem słynnego działacza sjonistycznego i posła na sejm dra Reicha) - należeli do najaktywniejszych członków Zarządu Patronatu. A cała działalność Jego w Patronacie Więziennym była przepełniona duchem prawdziwie chrześcijańskiego miłosierdzia. Biskup Łoziński nie pytał nigdy, jakiej narodowości czy wyznania jest dany więzień ani za co on został osadzony - więzień dla niego był po prostu nieszczęśliwym, potrzebującym pomocy człowiekiem.

A Jego sumiennosc, jako członka Patronatu Więziennego najlepiej charakteryzuje fakt, że na Jego wniosek Zarząd Patronatu powziął uchwałę pobierać 5 zł. grzywny na rzecz Patronatu od każdego z członków za nieusprawiedliwioną nieobecność, bądź nawet spóźnienie się na posiedzenie Zarządu.

I muszę przyznać, że za swojej długiej działalności nie widziałem gorliwszego i sumienniejszego zespołu niż Zarząd Patronatu Więziennego w Pińsku.

Dobroć Biskupa Łozińskiego przejawia się następnie w Jego stosunku do dzieci. Jezdząc (dość rzadko zresztą) skromnym autem biskupim ks. Biskup Łoziński woził zawsze pełne auto dzieciaków różnych funkcjonariuszów Kurii; śmiech i gwar dziecięcy bynajmniej nie raził tego Człowieka pozbawionego zdaje się wszelkich małostkowych względów na to, co „uchodzi” i co „nie wypada”.

Wreszcie ostatni wypadek. Wypadek jedynych (poza rewizytą) odwiedzin Bi-

skupa Łozińskiego w moim domu. Otóż ten człowiek sześćdziesięciokilkuletni, ten ksiądz kościoła - przyjechał by uratować od grożącej redukcji małego urzędnika sądowego obarczonego dużą rodziną. Alarm okazał się fałszywy: osobie, o którą prosił i tak nie groziła redukcja, ale to w niczym nie zmniejsza zasługi B-pa Łozińskiego.

W ogóle mogę powiedzieć, że o ile nie tylko nie znajdował środków na jakąkolwiek pompę w życiu osobistym, ale nawet na „odpowiednią stanowi” stopę życiową, to zawsze je znajdował tam, gdzie wymagała tego potrzeba chrześcijańskiego miłosierdzia i że potrzeba ta była potrzebą Jego duszy.

III. NIEZŁOMNOŚĆ BISKUPA ŁOZIŃSKIEGO

Więc nic nie pozostaje z pierwotnie urobionego przeze mnie obrazu Biskupa - miast dygnitarstwa - skromność i pokora, miast wojowniczości - dobroć, miast niezłomności - łagodność? - A czymże w takim razie wytłumaczyć i owe imiennowe wystąpienie i ostre reagowanie na proces brzeski i na pacyfikację Małopolski Wschodniej (Biskup nosił się z zamiarem wydania listu pasterskiego potępiającego oba te wypadki i zaniechał tego jedynie pod wpływem namowy przyjaciół, że w danej koniunkturze wystąpienie Jego raczej zaszkodzi niż pomóc sprawie może)?

Zresztą czy może prawdziwa dobroć, a nie zwykły brak charakteru nie reagować ostro na zjawiska, które uważa za złe?

Toteż i reagował, a jak? - Com widział, sam opowiem.

Jakoś w październiku 1930 roku na przedmieściach Pińska dokonano morderstwa dziewczyny. Wszystko wskazywało na to, że było to morderstwo na tle seksualnym, a wszelkie poszlaki szły w kierunku, iż dokonali to zdemobilizowani marynarze flotylli pińskiej. Fakt ten zaniepokoił B-pa Łozińskiego, który zwołał natychmiast (telefonicznie) u siebie konferencję przedstawicieli wszystkich miejscowych władz, do których zwrócił się z gorącym apelem o zastosowanie środków zaradczych przeciwko powtórzeniu się podobnych wypadków. Mówił, że wszyscy jesteśmy winni, że zdarzył się podobny fakt, że wypływa to z zaniedbania wychowania moralnego marynarzy, a zwracając się do przedstawiciela Dowództwa Marynarki i księdza kapelana wojskowego dodał: „A w pierwszej mierze ponosi odpowiedzialność nie tyle Dowództwo Marynarki co ksiądz kapelan, na którym przede wszystkim leży odpowiedzialność za stan moralny marynarzy”.

Przedstawiciele władz wyraźnie zażenowani przeważnie milczeli i tylko przedstawiciel Dowództwa Marynarki próbował się tłumaczyć tym, że materiał ludzki, którym dysponuje, jest zasadniczo materiałem skłonny do przygód, któremu się marzy o odkryciach „mórz dalekich i lądów”, a który się rzuca „w pińskie błoto”, w którym się może wyżyć w pijackich i awanturniczych wyczynach.

Konferencja się rozeszła, a jej uczestnicy (w tej liczbie i autor słów niniejszych) w „trosk codziennych zwycięskim pochodzie” prędko zapomnieli i o smutnym wypadku i o żenującej sytuacji na konferencji u biskupa.

Nie zapomniał o tym jednak Biskup i do swoich licznych zajęć dodał jeszcze jedno: wykładanie religii w szkole dla podoficerów marynarki w Pińsku, które prowadził do samej śmierci, jeszcze w ostatnich swoich chwilach ubolewając, że nie zdąży zakończyć roku szkolnego „ze swoimi chłopcami”.

Nie wiem, czy w związku z tym, ale wiem, że w bardzo krótkim czasie po tej

konferencji nastąpiła zmiana na stanowisku Kapelana Wojskowego.

W drugim ciekawym wypadku sam byłem czynnym aktorem. W lutym 1931 roku sądownictwo pińskie obchodziło podwójną uroczystość: 10-lecia Sądu Polskiego w Pińsku i poświęcenie nowego gmachu.

W związku z tym spodziewaliśmy się gości z Ministerstwa, Sądu Najwyższego i Apelacji Wileńskiej.

Oczywiście przy takiej uroczystości nie można pominąć B-pa Łozińskiego. Zachodziła jednak obawa, że przy tej okazji uczyni On aluzję do świeżych wówczas wypadków brzeskich, co znów nasi goście z Ministerstwa przyjąć mogą jako afront.

Jako odpowiedzialny gospodarz tej uroczystości bardzo się tym niepokoilem i obawom swoim dałem wyraz w rozmowie z ówczesnym viceministrem Sprawiedliwości Marianem Świątkowskim. Otrzymałem na to charakterystyczną odpowiedź: „Panie prezesie, czynię pana odpowiedzialnym za to, że nie spotka nas na miejscu żadna przykrość”.

Roma locuta et causa finita. Ale co ja mam robić? Przecież nie zamknę ust Biskupowi, przecież nie pomnę Go przy zaproszeniu. Tak martwiłem się całą noc w hotelu, tak martwiłem się przez całą drogę z Warszawy do Pińska, podzieliłem się swoim zmartwieniem z żoną po powrocie i nie uzyskałem od niej zbawiennej rady.

Natchnienie przyszło dopiero na drugi dzień: przychodzę do Sądu i zastaję na biurku druki zaproszeń na uroczystości i na ten widok wpadam na zbawienny pomysł: osobiście zawiozę zaproszenie Biskupowi i osobiście z Nim całą sprawę omówię: z takim Człowiekiem jak Biskup Łoziński trzeba po prostu wyłożyć „kawę na ławę”. Telefonuję więc do Biskupa z zapowiedzią swojej wizyty (rzecz ma się w styczniu i salę trzeba opalić!), posyłam do domu po ubranie żakietowe, przebieram się w nie w gabinecie i jazda do B-pa.

Doręczam Mu zaproszenie, rozmawiamy, Biskup jest usposobiony żartobliwie.

Przegląda zaproszeni, powiada, że chętnie poszedłby na raut, o ile na nim nie będzie „gołych pań”. Wiem, o co chodzi: jest to aluzja do zbyt - zdaniem Jego, wielkich dekoltów, z którymi walczy, o czym wiem, usilnie, ale formę uważam za nieco niestosowną, a więc odpowiadam:

„O, z pewnością Ekscelencjo, wszak to będzie przyzwoity raut.”

A więc - będą na nim same przyzwoite panie. -

„Z pewnością” odpowiadam jeszcze bardziej oficjalnie. „Wszak to będą nasze żony i córki i nasi mili goście. Jeśli jednak chodzi Ekscelencji o rodzaj stroju, to pod tym względem mogę tylko gwarantować, że stroje nie będą przekraczać ustalonej normy towarzyskiej.”

Pilno mi jednak do najważniejszej dla mnie kwestii, więc przerywam tę żartobliwą dyskusję i przystępuję do właściwej sprawy.

- Oczekujemy gości z Warszawy, będą oni nie tylko naszymi gośćmi ale i przedstawicielami Rzeczypospolitej. I jako gospodarze więc, i jako obywatele musimy tu wszyscy dbać o to, by tu na miejscu nie spotkała ich żadna przykrość. I tu muszę być zupełnie szczery: Pomny na wypadek imienninowy obawiam się, że Ekscelencja coś im takiego powie, co może zrobić im przykrość. Ja wiem - mówię, że być może ten i ów wołałby kogo innego widzieć na ich miejscu - nie od nas to jednak zależy, a biorąc rzeczy tak jak są - musimy zrobić wszystko, by miast zadowolenia z gościnnego przyjęcia nie odjechali oni od nas z uczuciem przykrości, rozgoryczenia i z przekonaniem, że w Pińsku ludzie nie znają się na grzeczności.

Mówię to i sam się przerażam własną odwagą. Rozumiem bowiem, że poza normalnym dystansem zwykłego laika do B-pa Ordynariusza dzieli mnie od B-pa Łozińskiego jeszcze ogromny dystans wieku, że ten sześćdziesięciokilkuletni starzec mógłby być śmiało ojcem trzydziestoosmioletniego swojego rozmówcy.

Patrzę, a biskup zupełnie się nie obraził i odpowiada spokojnie: - Właściwie to pan ma rację, ale ja nie zawsze mogę ręczyć za siebie. Czasami to mnie poniesie i wówczas może być bieda. Wie pan co zrobimy: ja na waszych uroczystościach nie będę, a pan niech idzie do Iwickiego (Prałat ówczesny Wikariusz Generalny) on to najlepiej potrafi zrobić.

Kamień mi spadł z serca, ale muszę prowadzić grę dalej.

- Ależ Ekszelencjo - powiadam - zostałem źle zrozumiany: chodziło mi tylko o możliwe zapobieżenie przyszłemu zgrzytom. Bardzo nam jednak zależy na osobistym udziale Ekszelencji w naszych skromnych uroczystościach.

- Nie, nie. Tak będzie lepiej. Niech pan idzie do Iwickiego.

Poszedłem więc do Prałata Iwickiego, który odprawił uroczystą mszę św., poświęcił gmach, był na akademii i na raucie.

Dygnitarze warszawscy trochę się obrazili, ale sprawa skończyła się tylko na posłaniu biletów wizytowych Biskupowi miast osobistej wizyty. Tak Biskup Łoziński potrafił łączyć niezłomność z miękkością, a jeśli miał czas do namysłu, umiał bezboleśnie a jednak dotkliwie wskazać każdemu, co o nim myślał, nie pokrywając własnym autorytetem autorytetu osób, których nie szanował.

IV. ŚMIERĆ BISKUPA

Dochodzę do momentu, o którym z jednej strony nie mogę nie pisać, bo w nim jaskrawo odbiła się osoba Biskupa, a z drugiej - pisać trudno, gdyż w tych kilku dniach Jego ostatniej choroby byłem zupełnie unieruchomiony ciężką i przewlekłą chorobą swojej żony i własną grypą - toteż, ani Go nie odwiedziłem przed śmiercią, ani też nie byłem na Jego pogrzebie. Poniższe więc wiadomości podaję z usta wiarygodnych świadków, w szczególności doktora Jewsiejenki, który Go leczył w ostatniej chorobie, a równocześnie leczył moją żonę.

Biskup Łoziński od dłuższego czasu chorował „na żołądek”, lekceważył jednak tę chorobę nie przerywając swoich licznych zajęć i chodząc do końca; dopiero w Wielki Czwartek 1932 roku poczuł się do tyła źle, że wezwano do Niego lekarza, który skonstatował skręt kiszek i konieczność natychmiastowej operacji.

Gdy mi opowiadał o tej operacji doktor Jewsiejenko - stary chirurg prawosławny i w dodatku wolnomysliciel, a więc człowiek niełatwy do wzruszeń i nie mający specjalnie przychylnego nastawienia do katolickiego Biskupa - łączył ją z oczach.

„Święty Człowiek! - mówił - wije się z bólu, a nie pozwala znieczulić miejsce operowane. Musieliśmy w końcu zastosować znieczulenie wbrew woli i bez wiedzy chorego. I gdyby nie to, że się nie zwrócił w porę do lekarzy, byłby uratowany, a tak (rozmowa miała miejsce w Wielką Sobotę) - albo już umarł, albo - umrze przed wieczorem.

Wszyscy świadkowie, księża opowiadali, jak zęgnął się z nimi, jak prosił o wybaczenie za wszelkie przykrości, które im wyrządził, a których - mówili ze łzami w oczach - nigdy nie było, jak martwił się, że Jego uczniowie - marynarze źle wypadną

z powodu Jego choroby i śmierci - na egzaminach.

Ciche i skromne miał życie Biskup Łoziński, cichy i skromny nakazał w testamencie pogrzeb po śmierci, zakazał mów pogrzebowych, kosztownej trumny, polecił tylko odczytać na pogrzebie swój ostatni list pasterski, w którym nawoływał swoich diecezjan do życia dobrego, cnotliwego, chrześcijańskiego. Uszanowano w miarę możliwości ostatnią wolę. Pogrzeb był skromny, bez pompy, bez mów, ale nie był cichy, bo zakłócały ciszę szlochy tych co Go znali blisko, i tych co doznali tylko z daleka Jego dobroci, Jego serca. ...A Światłość Wiekuista niechaj Mu świeci na wieki wieków.

A natychmiast po Jego śmierci rozeszły się wieści o cudach zdarzających się przy Jego trumnie, a jak słyszałem, grób Jego w Pińsku jest dotąd uważany za miejsce święte nawet przez prawosławnych.

Pisząc powyższe słowa rozumiem, że fakty, o których pisałem, są zbyt może drobne, że ktoś kto znał dłużej i lepiej Wielkiego Biskupa Pińskiego, mógłby o Nim napisać i więcej i lepiej. Ale to, co napisałem, posiada jedną niewątpliwą wartość: wartość autentycznego dokumentu.

I kiedy dojdzie do Procesu Kanonizacyjnego, dojsć doń musi (oby jak najprędzej!) i te skromne fakty mogą mieć swoją wartość.

NOTA

Stanisław Alexandrowicz (Toruń - UMK)

Załączony tekst śp. Adama Bobkowskiego „Świadectwo prawdzie” zachował się w maszynopisie (kopia pierwsza lub druga) na ośmiu jednostronnie zapisanych kartach numerowanych od 1 do 8, dalej określanych jako strony. Strony 1 i 2 pisane przez kalkę czarną, z odstępem wierszy 1 1/2; ss. 3-8 - przez kalkę niebieską, z odstępem pojedynczym. Całość maszynopisu ma naniesione ręcznie liczne poprawki i drobne dopiski atramentem czarnym, ręką autora, które w przepisanej kopii wprowadzone zostały bez zaznaczenia.

Przepisując, zachowałem bez zmian zarówno pisownię jak interpunkcję autorską. W szczególności odnosi się to do zachowania drobnych niekonsekwencji w użyciu dużych liter (czasem małych - w zaimkach odnoszących się do osoby Biskupa Łozińskiego). Jedyną zmianą jest opuszczenie kropek po tytułach: całości i rozdziałów I-IV.

Autor tekstu - Adam Bobkowski (urodzony 2 lutego 1893 r. w Koziatynie, zmarły 11 listopada 1955 r. w Toruniu i tu pochowany na cmentarzu parafii NMP przy ul. św. Jerzego (obecnie Galczyńskiego), pochodził z rodziny szlacheckiej wyznania grekokatolickiego (unickiej), lecz sam był już ochrzczony w kościele rzymsko-katolickim (w związku z likwidacją unii w zaborze rosyjskim) i przez całe życie pozostawał wiernym synem Kościoła. Ukończył Wydział Prawa Uniwersytetu św. Włodzimierza

w Kijowie i rozpoczął pracę jeszcze w sądownictwie rosyjskim. W Polsce Niepodległej był prezesem Sądu Okręgowego w paru kolejno miastach, m.in. w Pińsku (o czym pisze). Po II wojnie zamieszkał w Toruniu, gdzie był kierownikiem (prezesem?) miejscowego oddziału (?) Sądu Najwyższego. W 1949 (?) roku został wyrzucony na emeryturę w ramach ogólnej „czystki” w sądownictwie, co zresztą przeżył bardzo mocno. Znałem go dobrze osobiście, ponieważ od 1948 r., kiedy ożenił się z moją śp. Ciotką Haliną Kukowicz (pierwsza jego żona zmarła przed wojną), widywaliśmy się i rozmawiali niemal codziennie do roku 1953. Był wzorem etycznym starej daty.

Pamiętam, że w rozmowach ze mną wielokrotnie wspominał z najwyższą czcią o Biskupie Łozińskim. Nie mogę z całą pewnością stwierdzić, czy znałem tekst „Świadectwa prawdzie”, gdyż zachodzi niewątpliwie nałożenie się w mej świadomości i pamięci tego, co słyszałem i tego, co znam z lektury tekstu o wiele lat późniejszej. Że autor pisał (lub zamierzał napisać) podobne wspomnienia wiedziałem w tamtych latach (1950-1953 lub nieco później, kiedy już przyjeżdżałem do Torunia z Poznania). Nie wiem, co stało się z pierwszym egzemplarzem maszynopisu; może został posłany do „Tygodnika Powszechnego” przed jego zamknięciem w 1953 r.?

Bliższe szczegóły o życiu Adama Bobkowskiego może podać jego jedyny syn: Witold Bobkowski, zam. w Bydgoszczy, ul. M. Curie-Skłodowskiej 56/281, tel. 420-147.

Toruń, 1 września 1994 r.

Stanisław Alexandrowicz